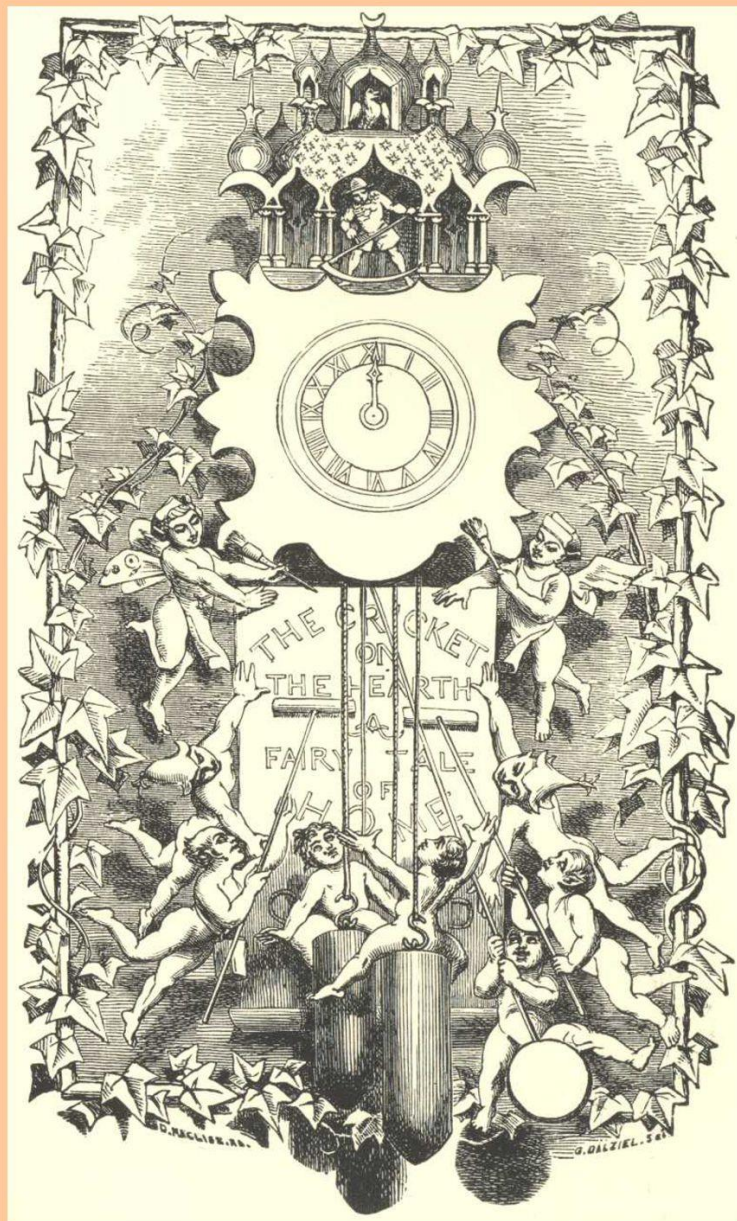


CHARLES DICKENS

Świerszcz za kominem



WYDANIE DWUJĘZYCZNE

Charles Dickens

Świerszcz za kominem



The Cricket on the Hearth



Pobierz
darmowy ebook



Ucz się
z Wymownią

ISBN 978-83-953030-9-8

Wydawnictwo Wymownia: www.wymownia.pl

Polska wersja językowa w tłumaczeniu Antoniego Mazanowskiego z 1914 r.
Angielska wersja językowa zgodna z wydaniem z roku 1845.

KAROL DICKENS

ŚWIERSZCZ ZA KOMINEM

I.



Samowarek pierwszy pieśń zanucił. — Niech sobie co chce mówi pani Piribingl, — ja wiem lepiej. Niech do końca świata utrzymuje, że nie pamięta, kto pierwszą podał nutę — samowarek czy świerszcz, ja twierdzę stanowczo, że samowarek, a mogę przecież to dobrze wiedzieć. Podług wskazówek na emaliowanym cyferblacie holenderskiego zegara, który stoi tam w kącie, samowarek o całych pięć minut wcześniej zaczął swą pieśń, zanim dało się słyszeć ćwierkanie świerszcza.

Czyż zegar nie przestał wybijać godzin, a mały kosiarz na jego wierzchołku, machając kosą w prawo i w lewo przed pałacem maurytańskim, czyż nie zdążył skosić pół akra malowanej trawy, zanim świerszcz przyłączył się do koncertu?

Z natury nie jestem uparty, to wiedzą wszyscy. Nie spierałbym się też i z panią Piribingl, gdybym nie był przekonany o swej słuszności. Nic nie zmusiłoby mnie do tego. Ale tu idzie o fakt, a fakt widoczny: samowarek zaszumiał o pięć minut wcześniej, nim świerszcz dał znak istnienia.

Trzeba zauważyć, że zaszło tu coś w rodzaju współzawodnictwa w sztuce między samowarem i świerszczem. A oto co było tego powodem i jak się to stało. Wyszędłszy z domu chłodnym wieczorem, stukając po mokrych kamieniach drewnianymi sabotami o żelaznem podkuciu i zostawiając na dworze niezliczone, grube ślady pierwszego zagadnienia Euklidesa, pani Piribingl napełniła samowarek wodą z beczki. Po powrocie do domu, już bez

sabotów (a więc o wiele niższa, bo saboty były wysokie a pani Piribingl mała), postawiła samowarek przy ogniu. Czyniąc to, na chwilę zniecierpliwiła się, gdyż woda była bardzo zimna i przy wilgotnej temperaturze zdawała się wszystko przenikać, nawet saboty, przez które wilgoć dostała się do palców pani Piribingl, nawet obryzgała jej nogi. Ponieważ zaś ona chlubiła się swymi nogami (i całkiem słusznie), a wielce dbała o czystość swych pończoch, łatwo zrozumieć, że trudno jej było opanować niezadowolenie.

W dodatku samowar zachowywał się niezdolnie i przekornie. Nie chciał ustawić się na ruszcie komina i dobrodusznie przystosować do nierównych grudek kamiennego węgla; musiał koniecznie szturgać dzióbkiem jak pijany i rozlewać wodę w sposób nierozsądny. W napadzie swarliwości ponuro syczał na ogień. Na domiar złego pokrywka, nieposłuszna palcom pani Piribingl, najpierw się wykręciła a potem bokiem dała nura prosto na samo dno samowarka. I jeszcze samowarek dąsać się nie przestawał; to wyginając uszko w sposób wyzywający, to szydersko i hardo kierując swój dzióbek wprost na panią Piribingl, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „otóż nie będę się gotował. Za nic nie będę!”

Ale pani Piribingl odzyskała już dobry humor; zatarła wesoło swoje pulchne rączki i siadła, śmiejąc się, naprost samowarka. Tymczasem wesoły płomień to podnosił się, to opuszczał, rzucając ruchliwy, jaskrawy odblask na maleńkiego kosiarza na wierzchu holenderskiego zegara. Przy jego bystrem migotaniu wydawało się, że drewniana figurka przed maurytańskim pałacykiem stoi bez ruchu, że wszystko zamarło prócz tego rzucającego się, nieokiełzanego ognia. Ale kosiarz się ruszał; z niezmienną punktualnością wstrząsały go dreszcze dwa razy na sekundę. Gdy zegar bić poczynał, dreszcze te stawały się przerażającymi, a gdy kukułka, wyrzawszy z poza spuszczonej drzwiczek pałacyku, zakukała sześć razy, biedak wił się w kurczach, jakby usłyszał zagrobowy głos widma lub jakby niewidzialne druty szarpały go za nogi.

I dopiero gdy straszne uderzenia, chrypienie i syczenie wag i mechanizmu zegarowego całkowicie milkło, wystraszony kosiarz wracał do stanu normalnego. A lękał się nie bez powodu, bo te chrapliwe, krzywe szkielety, zwane zegarami, wydają nadzwyczaj niemiły hałas. Nie mogę wydziwić się, jak ludzie, a w szczególności holendrzy zdołali dojść do takiego wynalazku. Wiadomo powszechnie, że holendrzy lubią dostatnią odzież i szerokie spodnie, trudno zrozumieć w obec tego, dlaczego uważali za konieczne pozostawić swoje zegary bez przybrania i ochrony.

I oto — patrzcie — samowar zaczął się ożywiać. W szyjce dało się słyszeć klekotanie, potem zaczął wydawać urwane sapnięcia, dość nieśmiało, jakby jeszcze nie był zdecydowany rozweselić się i rozhulać na dobre. Nareszcie po dwóch lub trzech próżnych wysiłkach

owładnięcia żądy wywnętrzenia się, pozbył się wszelkiej melancholii, wszelkiej wstrzemięźliwości i zaśpiewał tak wesoło, tak od duszy, że żaden płaczący słowik nie mógłby mu dorównać.

A jakie to było proste! Sądzę, że zrozumielibyście pieśń samowara nie gorzej niż książkę, a nawet lepiej niż niejedną książkę, dobrze nam i wam znaną. Wydając gorący oddech, który wesoło i kształtnie, jak lekki obłoczek podnosił się na parę stóp w górę i pod sufitem zgęszczał się w chmurki, samowar śpiewał swą pieśń z takim radosnym zapałem, że jego miedziany korpus drgał i dźwięczał przy ogniu; nawet pokrywka — taki jest wpływ dobrego przykładu — puściła się w płasy i zabrzęczała na podobieństwo miedzianych talerzyków orkiestry. Nie było wątpliwości, że pieśń samowarka dźwięczy przyzwaniem i powitaniem dla kogoś dalekiego, kto spieszy w tej chwili do przytulnego domu i płonącego ogniska. Pani Piribingl wiedziała o tem, wiedziała doskonale, siedząc zamyślona przy ogniu. — Noc ciemna — śpiewał samowar — żółkłe liście leżą przy drodze, w górze wszystko zachmurzone i we mgle, a pod nogami błoto i lepka glina. Jedno tylko raduje oko w tym smutnym zmierzchu a i to niewiele, bo jest to tylko odblask: zbита gniewna czerwoność w miejscu zetknięcia się słońca z wiatrem; piętno, leżące na chmurach — sprawczyniach burzy; cała okolica zewsząd okryta czarnym płaszczem; słup wiorstowy zapruszył szron, na drodze kałuże zlekka dotknięte mrozem, lecz nie zamarznęte; nie można nic dojrzeć w ciemności. Ale on nadjeżdża, nadjeżdża, nadjeżdża!...

Tu świerszcz przyłączył się do pieśni, zabrawszy się wtórować swem ćwierkaniem, nakształt chóru i to głosem wcale nie odpowiednim do wielkości w porównaniu ze samowarem. I gdyby tu zaraz na miejscu padł ofiarą swego zapału, gdyby jego ciało rozpadło się w kawałki, jak oręż przepelniony prochem przy wystrzale, wydałoby się to naturalnem i nieuniknionem następstwem jego nadmiernych usiłowań. Solo, jakie rozpoczął samowar, zamieniło się w duet; samowar z niesłabnącym żarem ciągnął dalej swą nutę, ale świerszcz zawładnął pierwszemi skrzypcami i placu nie ustępował. Boże miłosierny, jak on zawodził! Jego cienki, ostry, przenikliwy głos dźwięczał w całym domu, migotliwie, jak gwiazdy w mroku nocnym za oknami.

Wykonywał niemożliwe trele, rzucał wysokie tony w chwilach najwyższego naprężenia, a z pewnością wyciągał nóżki i poskakiwał w zapale zachwytu. Obaj artyści jednakże nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Ich śpiew zlewał się harmonijnie w ciszy wieczornej, a starając się przewyższyć jeden drugiego, śpiewali coraz głośniej i głośniej.

Mała słuchaczka — naprawdę była ładna i młoda, choć trochę za pełna i przysadzista, ale podług mego zdania, niema w tem nic złego; zapaliła świecę, spojrzęła na kosiarza na

wierzchu zegara, który tymczasem zdążył skosić okazałą liczbę minut i podeszła ku oknu, z którego w ciemności nic nie dostrzegła, prócz odbicia własnej twarzy w szybie okiennej. Według mego zdania (sądzę, że i wy na to zgodzilibyście się) mogłaby ta kobieta długo patrzeć w przestrzeń i nie ujrzyć nic, nawet o połowę tak miłego. Gdy powróciła i siadła na dawnym miejscu, świerszcz i samowar ciągnęli dalej swój koncert z wysiłkiem współzawodnictwa. Słabą stroną samowara widocznie było to, że nie uznawał swej porażki, gdy został pobitym. Były to prawdziwe wyścigi. Czirik, czirik, czirik... Świerszcz wyprzedził współzawodnika o milę. Hem, hem, hem, m-m-m! Samowar podśpiewywał za nim zdala, sił oszczędzając. Znowu czirik! Świerszcz okrążył kącik. Hem, hem, hem! Rwał się ku niemu samowar na swój sposób, nie myśląc ustąpić. Czirik, czirik! ciągnął świerszcz głosem czystszy niż kiedykolwiek. Hem, hem, hem, m-m-m! śpiewał samowar z uporem i nie śpiesząc się. Czirik!... Świerszcz gotów ostatecznie pobić współzawodnika. Hem, hem, hem, m-m-m! Samowar nie ustępował. Skończyło się na tem, że z ich współzawodnictwa wytworzyła się taka mieszanina, że już nie można było rozróżnić czy szumi świerszcz, a samowar świergocze, czy też przeciwnie samowar szumi, a świerszcz świergocze, lub czy oboje razem szumią i świergoczą. Aby to określić, trzeba by znaleźć głowę sprytniejszą od mojej i waszej. Jedno tylko pewne, że samowar wraz ze świerszczem, ulegając sile zjednoczenia, im samym tylko znanej, śpiewali równocześnie swoją rozkoszną pieśń ogniska domowego, płynącą w jednym kierunku ze światłem świecy, które z okna padało na daleką równinę. A to światło, doszedłszy do człowieka, który się w ciemności ku niemu przybliżał, w jednej chwili opowiedziało mu wszystko, co się w domu działo, ten zaś zawołał z radością: „Witaj, stary! Witaj, serdeczny!”

W końcu samowar ostatecznie zwyciężony, zakipiał i zdjęto go z ognia, gdyż war przelewał się przez brzegi. Wtedy pani Piribringl pobiegła ku drzwiom, gdzie turkot kół furgonu, tętent koni, głos męski, szczekanie psa wywołało zamęt zwiększony zdumiewającym i tajemniczym pojawieniem się małego dziecka. Skąd się wzięło to dziecko i jakim sposobem pani Piribringl zdążyła w tak krótkiej chwili schwycić je na ręce, stanowczo tego zrozumieć nie mogę. W każdym razie żywe dziecko spoczywało na rękach pani Piribringl, która widocznie niem się chlubiła, podczas gdy tęgi mężczyzna, o wiele wyższy i starszy od pani Piribringl, delikatnie pociągnął ją ku kominkowi i aby ją pocałować, dobrze musiał się pochylić. Ale warta była trudu. Olbrzym wysokości 6 stóp i 6 cali, chory na darcie w kościach nie leniłby się zrobić to samo.

— Boże mój, Janie, — rzekła gospodyni — do czegoś ty podobny!

— Rzeczywiście wyglądał straszliwie. Gęsta mgła osiadła na brwiach biedaka w postaci

szronu, a przy świetle ognia zamrożone faworyty mieniły się barwami tęczy.

— Widzisz, Dot — mówił wolno, odwiązując szalik ze szyi i grzejąc ręce przy ognisku; pogoda nie wiosenna naturalnie. Nic więc dziwnego, że tak przeziął.

— Chciałabym, Janie, żebyś mnie nie nazywał „Dot.“ Nie lubię tego, przerwała pani Piribingl, w sposób, który widocznie przeczył jej słowom.

— A cóż ty jesteś, jeżeli nie Dot? — odpowiedział Jan, z uśmiechem przyglądając się jej od stóp do głowy i obejmując ją w pół z taką delikatnością, na jaką tylko zdobyć się mogła jego ogromna muskularna ręka. Ty jesteś kropka, na rękach zaś ma ta kropka — tu spojrzął na dzieciątko — nie, nie powiem, aby nie powiedzieć w złą godzinę; a już, już chciałem zażartować. Zdaje się, że nigdy nie byłem tak blizkim żartu.

Według swego własnego mniemania często „ledwo — ledwo“ nie zrobił tego lub owego, ten ociężały, cichy, uczciwy Jan; taki ogromny, a tak delikatny sercem, taki gruby na pozór, a miękki duszą, taki nierozmowny przy obcych, a wesoły w domu, taki tępy głową, a dobry uczuciem. O matko przyrodo, obdarz tve dzieci tą szczerą poezją serca, jaka kryła się w piersi tego woźnicy, (bo był to tylko prosty woźnica) — a wtedy pogodzimy się z prozą życia i ocenić potrafimy istotną wartość człowieka.

Miło było patrzeć na Dot, ładną, malutką z dzieckiem — podobnym do lalki na ręku. Z zalotnem zamyśleniem utkwivszy oczy w ogień, przechyliła śliczną główkę na bok, opierając ją o szeroką pierś woźnicy, na poły z naturalną, na poły z przybraną naiwnością, pełną pociągającej pieśczoły. Miło było patrzeć na niego, jak czule choć niezręcznie starał się podtrzymywać swój lekki ciężar, aby jego dojrzała męskość służyła za odpowiednią podporę rozkwitającej młodości żony. Przyjemnie było przyglądać się, jak Tilly, która w głębi komnaty czekała, aby jej oddali dziecko, rozkoszowała się, choć jeszcze bardzo młoda, tą grupą i stała z otwartymi ustami i wytrzeszczonemi oczami, wyciągnąwszy naprzód szyję, jakby upojona tym widokiem. Również miło było widzieć, jak Jan, woźnica, przy wzmiance żony o dziecku, chciał z początku dotknąć się go, lecz odsunął rękę, zapewne bojąc się zgnieść maleństwa i nachyliwszy się ku niemu, przyglądał mu się z daleka z uczuciem zdziwienia i dumy, jaką zapewne okazałby dobroduszny pies podwórzowy, gdyby niespodzianie ujrzał się ojcem małego kanarka.

— No, czyż on nie ślicznotka, Janie? Czy nie milutki, kiedy śpi tak słodko?

— Ma się rozumieć, milutki — potwierdził mąż. — Nadzwyczaj miły. On, zdaje się, śpi zawsze, prawda?

— Cóż znowu, Janie? Rozumie się, że nie!

— Naprawdę? — wymówił Jan w zamyśleniu. — A ja myślałem, że oczka ma zawsze

zamknięte. — Halo!

— Jak można, Janie! przecież przerazisz ludzi!

— Dziecku zaszkodzi, jeśli tak oczy zawracać będzie — rzekł woźnica — nieprawdaż? Patrz, jak mruga obu oczami naraz! A popatrzno także na jego usteczka. Toć otwiera je, jak złota i srebrna rybka.

— Nie zasługujesz na to, aby być ojcem, nie zasługujesz, zawstydziła go Dot z powagą doświadczonej matrony. Zresztą skądże możesz wiedzieć, na jakie drobne niedomagania narażone bywają dzieci. Janie! Ty nawet nazwaćbyś ich nie umiał, ty niemądry człowieku! Przełożyła dziecko na lewą rękę i klepiąc je po plecach, zapewne dla zdrowia, ze śmiechem pociągnęła męża za ucho.

— Skądże je mogę znać, mówi Jan, zdejmując płaszcz ze siebie — prawdę mówisz, Dot. Nie bardzo się znam na tem. Za to wiem, że dziś wieczorem musiał całą siłą walczyć z wiatrem. Dął z północo wschodu wprost na furgon przez całą drogę powrotną.

— Biedny stary, to prawda! przerwała pani Piribingl, zaczynając się krzątać. — Bierz prędko drogą kruszynkę, Tilly, ja tymczasem zajmę się gospodarstwem — naprawdę, zadusiłabym je pocałunkami, gdyby mi żal nie było. Idź odemnie, puść, mój psie kochany. Precz, Bokser, precz! Daj mi najpierw przygotować herbatę, Janie, a potem pomogę ci rozdzielać pakunki, jak pracowita pszczoła. „Mała pszczołka przy pracy“ i tak dalej, jak wiesz, Janie. Czy uczyłeś się „Małej pszczołki“, gdyś chodził do szkoły?

— Nie pamiętam dobrze — odrzekł mąż. — Byłem zapewne blizki tego. Ale popsułbym tylko tę bajeczkę.

— Cha, cha! — zaśmiała się Dot. A śmiech miała tak dźwięczny, jak tylko wyobrazić sobie można. — Jaki z ciebie miły, stary głupty, Janie.

Nie myśląc przeczyć temu, Jan wyszedł na podwórze popatrzeć, czy zaopiekował się koniem jak należy chłopiec, który jak błędny ogień, przesuwając się z latarnią w rękę to tu, to tam mimo drzwi i okien. Koń był tak tłusty, że nie uwierzylibyście mi, gdybym podał wam jego rozmiary, a tak stary, że dzień jego urodzin ginął w pomroce wieków. Bokser czując, że powinien sprawiedliwie okazywać swoje przywiązanie członkom rodziny, biegał z domu na podwórze i na powrót z zadziwiająco ruchliwością; skakał z przerywanym szczekaniem koło konia, gdy go czyścili przy stajni, to udawał, że chce się rzucić na swą gospodynię i nagle się wstrzymywał, to zmuszał do krzyku Tilly, siedzącą na niskim krześle blisko ognia, dotykając mokrą mordką jej twarzy, to z natrętną ciekawością zbliżał się do dziecka, potem zaczął się kręcić koło ogniska, wreszcie położył się, jakby zamyślając noc tu spędzić; w chwilę potem zerwał się i, podnosząc kusy ogon, wybiegł na podwórze; wyglądało to tak,

jakby przypomniał sobie o naznaczonej komuś schadzce i pędził całą siłą, aby się nie opóźnić.

— Otóż i herbata gotowa! — oznajmiła Dot, kręcąc się jak dziecko, które się bawi w „gospodynię“.

— Oto szynka, masło, grzanki i wszystko inne. A tu masz koszyk na drobne pakunki, Janie, jeśli je masz. Gdzie się podziałeś, Janie! Tilly uważaj, abyś pod komin nie upuściła dziecka. Trzeba zaznaczyć, że panna Tilly, mimo dość hardej odpowiedzi na uwagę gospodyni, posiadała rzadką i zadziwiającą zdolność wpadania co chwila w kłopot ze swoim wychowawcą. Już nieraz jego krótkie życie znajdowało się w niebezpieczeństwie z jej powodu. Tilly była chuda, kanciasta, odzież na niej groziła w każdej chwili opadnięciem z jej ostrych ramion, na których wisiała jak na wieszadle. Kostyum tej młodej damy odznaczał się jedną osobliwością; nianka lubiła stroić się we flanelowy gorset blado-zielonego koloru, który sznurowała na plecach. Wiecznie wytrzeszczając oczy na otaczające przedmioty, zachwycając się wszystkim, a przede wszystkim nieustannie zachwycona przymiotami swej gospodyni i jej dziecka, panna Tilly, chociaż czasami trochę myliła się w swych sądach, zachowywała należny szacunek dla głowy i serca pani Piribingl; na nieszczęście nie można tego powiedzieć o główce dziecka, którą usiłowała wszelkim sposobem doprowadzić do zbliżenia z kredensem, poręczami schodów, łóżek i innymi obcymi przedmiotami. Wszystko to było jednakże rezultatem nieustannego zachwyty Tilly, która nie mogła nacieszyć się uprzejmem obejściem swych gospodarstwa i swem przebywaniem w tym wygodnym domu. A zachwyty ten wypływał stąd, że Tilly, podrzutek, nie miała nigdy rodziny ani ze strony ojca, ani ze strony matki i wychowała się na koszt gminy w ochronie.

Widok malutkiej pani Piribingl, wracającej z podwórza wraz z mężem i niby pomagającej mu nieść kosz (który w rzeczywistości on sam dźwigał), zabawiłby was prawie tak samo, jak dobrodusznego Jana. Może ta scena wydała się zabawną i świerszczowi, bo znów zaczął ćwierkać z całej siły.

— Uważasz! — odezwał się gospodarz, według zwyczaju rozwlekając słowa. — On dzisiejszego wieczora zdaje się weselszy niż zwykle.

— To napewno szczęście nam zwiastuje, Janie!

Tak było zawsze. Gdy świerszcz zagospodaruje się przy ognisku, to błogosławieństwo dla domu! Mąż spojrział na panią Piribingl: wzrok jego wyrażał myśl, że to ona sama jest głównym jego błogosławieństwem. Ale widocznie obawiał się powiedzieć za wiele, więc nie odrzekł.

— Pierwszy raz, Janie, usłyszałam jego wesoły głosik tego wieczora, kiedyś mię przywiózł do domu jako gosposię. Blisko rok temu. Pamiętasz, Janie?

O, tak! Jan pamiętał. Jakżeby mógł nie pamiętać!

— Ćwierkanie świerszcza wydało mi się takim pełnym otuchy przywitaniem! Było dobrą przepowiednią, jak gdyby świerszcz chciał mi dodać odwagi. Ono wyraźnie mówiło mi, że będziesz dobrym i względnym dla mnie. I że nie będziesz się wzdrygał oprzeć swą poważną głowę o ramię swej roztrzepanej żonki. A ja bałam się wtedy tego domu tak bardzo, Janie.

Mąż w zamyśleniu pogładził ją po główce i ramionach, widocznie chcąc powiedzieć: nie, nie, jestem rad ze wszystkiego, co teraz posiadam. I w rzeczy samej Jan słusznie tak myślał: i główka i ramiona były bardzo miłe.

— Świerszcz prawdę wywróżył, Janie, kiedy zdawał mi się to mówić swoim ćwierkaniem, dla tego, że ty jesteś dla mnie najlepszym, najdelikatniejszym i najbardziej kochającym mężem. W domu naszym zamieszkało szczęście, Janie, i dlatego lubię świerszcza.

— I ja także — odrzekł Jan. — I ja także, Dot!

— Miły mi jest, bo jego łagodne ćwierkanie nasuwało mi różne myśli. Czasami, o zmroku, gdy mi się czuła trochę osamotnioną i smutną, Janie, — wpierw, niż się urodził nasz maleńki na to, aby być moim towarzyszem i ożywić naszą chatę — kiedy myślałam, jak będziesz cierpiał na wypadek mej śmierci, jak przykro byłoby mnie samej, gdybym mogła mieć świadomość tego, żeś ty mnie stracił, mój drogi, wtedy *czirik, czirik* rozlegające się od strony ogniska, przypominało mi inny głosik tak miły i drogi dla mnie, że samo jego przecucie rozwiewało wszelkie trwogi, jak sen przykry. A kiedy bałam się, że nasze małżeństwo okaże się niedobranem, bom ja takie dziecko, a ty podobniejszy jesteś do opiekuna, niż męża; trwożyła mnie myśl, że przy całej usilności, nie pokochasz mnie, jak się tego spodziewałam i pragnęłam, wtedy ćwierkanie



świerszcza znów mnie rozweselało, napelniając serce zaufaniem i odwagą.

— Myślałam o tem wszystkim dziś wieczorem, mój drogi, kiedy siedziałam tu, oczekując ciebie; i dlatego lubię świerszcza.

— Ja także, — powtórzył Jan. — Ale co ty znów mówisz, Dot? Ja spodziewałem się, pragnąłem tego, żeby cię pokochać? Co znów nowego wymyślisz? Przecież byłaś mi najdroższą o wiele wcześniej, nim cię tu przywiozłem, abys została gospożą świerszcza.

Położyła na chwilę rękę na jego ramieniu i spojrzała nań ze wzruszeniem, jakby powiedzieć coś miała. Za chwilę młoda kobieta klęczała obok koszyka i mówiła wesoło, zabierając się do rozkładania paczek:

— Nie wiele ich dzisiaj, Janie, ale zauważyłam parę dużych pakunków na tyle wozu. Chociaż co prawda niemało z tem kłopotu, lecz rozwożenie posyłek to dobry zarobek; nie należy więc nam narzekać, nieprawdaż? A prócz tego, zapewne poddawałeś po drodze niektóre towary.

— Naturalnie i niemało.

— A to co za okrągły koszyczek, Janie? Masz sobie! to przecież kołacz ślubny!

— Kobiety w tym razie mają wzrok bystry, — zauważył zachwycony Jan. — Mężczyzna nigdyby nie zgadł. Jestem pewien, że gdyby zapakować ślubny kołacz w pudło od herbaty, przewrócone do góry dnem łożko lub oczyszczoną beczkę ze śledzi, kobieta niewątpliwie węchemby odgadła, co tam się znaduje. Tak, nie mylisz się. Jeździłem po niego do cukiernika.

— A waży to już nie wiem ile; chyba ze sto funtów — wołała Dot, robiąc zabawne usiłowania, aby go podnieść. — Czyj to, Janie? Gdzie go wyprawić?

— Przeczytaj adres na drugiej stronie koszyka.

— Jakto Janie? Czy to możliwe?

— Tak, ktoby mógł to przypuścić?

— Czy chcesz przez to powiedzieć, — ciągnęła Dot, siedząc na podłodze i zadzierając głowę, — że to dla Greffa i Tekltona, fabrykanta zabawek?

Jan w odpowiedzi skinął głową.

Tymczasem Tilly, która bezmyślnie bez sensu powtarzała zasłyszane urywki rozmowy, byle zabawić dziecko, i przytem wszystkie rzeczowniki kładła w liczbie mnogiej, głośno zapytywała stworzonko, czy nie jest on Greffem i Tekltonem, fabrykantami zabawek, czy nie zajędzie do cukierników po weselne kołacze, czy jego mamusie poznają koszyczki, gdy jego ojcowie przywiozą je do domu i t. p.

— Więc to naprawdę nastąpi? Pomyśl, Janie, przecież jako małe dziewczątka biegałyśmy z nią razem do szkoły.

— Zapewne myślał o żonie lub był bliżki tego, aby ją sobie wyobrazić jako małą uczenicę. W każdym razie spoglądał na Dot w miłym zamyśleniu, ale nie odpowiedział ani słowa.

— A on taki stary! Taki dla niej nieodpowiedni! poczekaj, o ile lat starszy od ciebie Greff i Teklton?

— O ile więcej szklanek herbaty wypiję dziś na raz, niż Greff i Teklton wypiłby ich cztery razy, odgadnij to sama — wesoło podchwycił Jan, przysuwając krzesło do okrągłego stolika i zabierając się do zimnej wędliny.

— Co zaś do jedzenia, to jadam mało, ale za to ze smakiem, Dot.

Nawet ta zwykła wzmianka przy stole, jedna z jego niewinnych omyłek (bo dobry apetyt przeczył jego słowom), nie wywołała uśmiechu na usta młodej kobiety, która, stojąc wśród pakunków, powoli odsuwała nogą koszyk z kołaczem i nie spojrzała nawet na maleńki trzewiczek — przedmiot jej trosk nieustannych — choć oczy jej były ku ziemi spuszczone.

Zagłębiając się w zamyśleniu pani Piribingl, nie ruszała się z miejsca, zapomniawszy o herbacie i

Janie (choć ją tenże przyzywał i nożem uderzał w stół, aby ją zmusić do oprzytomnienia).
Nakoniec wstał i wziął Dot za rękę, wtedy spojrzała na niego z roztargnieniem, ale zaraz otrząsała się z zadumy i zajęła swoje miejsce przy stole, śmiejąc się z roztargnienia. Lecz już nie po dawnemu. Jej dźwięczny śmiech brzmiał teraz zupełnie inaczej.

Świerszcz też zamilkł. Pokój, poprzednio wesoły, posmutniał.

— A więc, to już wszystkie pakunki, Janie, nieprawdaż? — odezwała się młoda kobieta po długim milczeniu, z którego pocziwy woźnica skorzystał na praktyczną ilustrację przynajmniej drugiej części swego ulubionego twierdzenia, rozkoszując się jadłem, bo na to, że je mało, trudno byłoby się zgodzić.

— Tak, tu są wszystkie pakunki, prawda, Janie!

— Wszystkie — potwierdził Jan. — poczekaj... Nie... ja... — zamruczał, kładąc nóż i widelec na stole, z głębokim westchnieniem. — To dopiero historia. Zupełnie zapomniałem o starym jegomościu.

— O starym jegomościu?

— We wozie, — dodał Jan. — On tam zasnął na słomie, kiedy go widział po raz ostatni. Dwa razy bardzo bliski byłem tego, aby ci o nim powiedzieć po powrocie do domu, ale wyslizgało mi się to z pamięci. Halo, hej, panie!

— Wstawaj pan, przyjechaliśmy!

Ostatnie słowa Jan krzyczał już na podwórzu, gdzie pospieszył ze świecą w rękę.

Tilly, zasłyszawszy tajemniczą wzmiankę o starym jegomościu i wyobraziwszy sobie, że tu mowa o jakimś osobniku duchownego charakteru, zmieszała się. Wskoczywszy z niskiego krzesła przy kominku, żeby schować się za spódnicę swej pani i niespodzianie zetknąwszy się we drzwiach z nieznanym starcem, instynktownie puściła w ruch jedyną swą broń odporną, jaką znalazła pod ręką. A ponieważ bronią tą było dziecko, podniósł się więc straszny hałas i zamieszanie, do którego bardzo dopomagał pojętny Bokser. Ten dobry pies, bystrzejszy o wiele od swego pana, strzegł starego jegomości, podczas jego snu, z obawy zapewne, aby nie uciekł, zabierając ze sobą kilka młodych topolek, przywiązanych z tyłu do woza; pies i teraz szedł tuż za nim, chwytając go za nogi i gryząc guziki przy kamaszach.

— Jednakże, panie, sen ma pan kamienny — zauważył Jan, kiedy spokojność wróciła; tymczasem starzec nieruchomo stał w pośrodku izby z odkrytą głową. — Jużem chciał zażartować z pana, ale bałem się, że żart okaże się niewłaściwym. A już byłem bliski tego — zamruczał woźnica, mlaskając językiem; — bardzo bliski!

Nieznanomy, który miał długie, siwe włosy, przyjemne rysy twarzy, niezwykle śmiało i ostro zarysowane, jak na starca i ciemne, błyszczące i bystre oczy, obejrzał się wokoło z

uśmiechem, poczem powitał żonę woźnicy uprzejmem pochyleniem głowy.

Odzież jego wydawała się dziwną i niezwykłą; takie ubranie nosili wiele lat temu. Starzec cały przyodziany był w suknie cynamonowego koloru, w rękach trzymał takiejże barwy laskę, która mu służyła za podparcie. Gdy dziwny gość uderzył nią o podłogę, roztworzyła się i zmieniła w krzesło rozkładane, na którym usiadł sobie najspokojniej.

— Patrz! rzekł woźnica do żony. Tak znalazłem go siedzącego przy drodze. Siedział wyprostowany, jak słup wiorstowy. I głuchy też także, jak słup.

— Jakto, pod gołem niebem, Janie?

— Tak, pod gołem niebem, potwierdził Jan, — o zmierzchu. — „Opłata za przewóz“ — powiedział, podając mi ośmnaście pensów, poczem wdrapał się na wóz. I tak dojechaliśmy do domu.

— Więc chyba ma zamiar odejść, Janie?

Ale gdzie tam! Nieznajomy zamierzał tylko przemówić.

— Pozwólcie mi pozostać, dopokąd po mnie nie przyjdą, rzekł krótko. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Z temi słowy zaczął szukać czegoś w swych głębokich kieszeniach. Z jednej wyciągnął okulary, z drugiej książkę i zajął się, jak gdyby nigdy nic, czytaniem, zupełnie nie obawiając się Boksera, jakby to było małe jagnię. Woźnica i jego żona z trwogą popatrzyli na siebie.

Nieznajomy podniósł głowę i z ciekawością spoglądał, wodząc oczami z jednego na drugie:

— Wasza córka, mój dobry przyjacielu?

— Żona, — odpowiedział Jan.

— Siostrzenica? — powtórzył pytanie głuchy.

— Żona, — wrzasnął gospodarz.

— Czyliż? — zauważył gość. — Czy to prawda? Bardzo młodziutka. Spokojnie odwrócił się i ciągnął dalej swoje czytanie, ale przeczytawszy dwa wiersze, znów zapytał:

— Dzieciątko to wasze?

Jan zrobił olbrzymi znak głową, który miał oznaczać twierdzącą odpowiedź.

— Dziewczynka?

— Chłopczyk! — huknął gospodarz.

— Nowonarodzony, hę? Ile ma?

— Dwa miesiące i trzy dni-i-i! — szybko wtrąciła pani Piribingl. — Ospa zaszczepiona akurat sześć tygodni te-e-e-mu! przyjęła się doskonale-e-e. Doktor uważa, że chłopczyk jest nadzwyczaj ładnym dzieckiem! Rozwinięty jak pięciomiesięczny-y-y! Rozumie już wszystko, poprostu do podziwu-uu! Może pan nie uwierzy — że chwyta się już za nóżki-i-i! Tu

zadyszana mamusia, która te wszystkie odrywane zdania krzyczała prosto do ucha starcowi, aż jej ładna buzia zarumieniła się, wzięwszy dziecko, podniosła je do twarzy gościa, jak niezaprzeczonego i tryumfalnego okaz. Tymczasem Tilly z melodyjnym okrzykiem: „Ketczer! Ketczer!“ co brzmiało zupełnie jak naśladowanie kichania, skakała około dziecka, jak niezgrabna krowa koło cielątka.

— Słuchaj! Idą, zdaje się, po niego — powiedział Jan. — Ktoś tam kręci się koło drzwi. Otwórzże, Tilly.

Niania nie zdążyła dojść do progu, gdy drzwi zzewnątrz się otworzyły; były one bardzo prostej konstrukcji z zasuwą, którą każdy mógł podnieść, gdy zechciał. I bardzo wielu to czyniło, bo sąsiedzi wszelkiego rodzaju lubili zamienić wesołe słowo z woźnicą, choć tenże nie był zbyt rozmownym. Tak więc drzwi otworzyły się, aby wpuścić do izby małego, chudego, zamyślonego człowieka z chmurną twarzą, który, trzeba przypuścić własnoręcznie zmajstrował sobie płaszcz z rogoży, służącej za obszycie jakiegoś starego pudła; przynajmniej gdy się obrócił, aby zamknąć drzwi i nie wpuszczać zimna, na jego plecach widniały dwie czarne litery G. & T., a także słowo „szkło“ napisane śmiałym pociągnięciem.

— Dobry wieczór, Janie! rzekł gość. — Dobry wieczór, pani! Dobry wieczór, Tilly! Dobry wieczór, obcy — panie! Jak się ma mały pani! Spodziewam się, że Bokser zdrów i nieuszkodzony.

— Wszyscyśmy zdrowi, Kalebie — odrzekła Dot. — Jestem pewna, że dość spojrzeć na miłą kruszynę, żeby się upewnić co do jego zdrowia.

— Tak, patrząc na was nie można wątpić o waszym powodzeniu — przerwał Kaleb. Jednakże nie spozjrzał na gosposię; oczy jego w zamyśleniu błądziły po pokoju. Zdawało się, że ten człowiek bez względu na to, o czym mówi, myślą gdzie indziej przebywa. To samo wyrażał i głos jego.

— Oto i wygląd Jana nie pozostawia nic do życzenia — ciągnął dalej. — Tilly i Bokser też dobrze się prezentują.

— Wiele zapewne masz pracy, Kalebie? zapytał woźnica.

— Tak, dużo — odpowiedział z roztargnieniem człowieka, co najmniej odkrywającego kamień filozoficzny; — bardzo dużo. Wielki teraz popyt na Arki Noego, ale nie wiem, jak to wykonać za tę samą cenę. Niechby każdy mógł rozróżnić, która figurka wyobraża Sema, która Chama, która ich żony. Ale, ale, czy przywiozłeś dziś dla mnie cokolwiek, Janie?

Woźnica wsunął rękę do kieszeni zdjętego przed chwilą płaszcza i wyciągnął stamtąd wazonik kwiatów, starannie owinięty mchem i papierem.

— Oto dla ciebie, bierz — powiedział, ostrożnie odwijając go.